

Tadeusz Nowak

Kukułki lecą, lecą

[fragmenty]

DO DRUKU PODAŁ WIKTOR GARDOCKI

[...] W dni słoneczne, wiosenne [...] wybieraliśmy z kubłów na śmieci co piękniejsze butelki po zagranicznych trunkach. Płukaliśmy je do czysta pod kranem i budowaliśmy z nich, flaszka po flaszcze, przedszkola i szkoły. Piegowata dziewczynka z siódmego piętra, córka przedszkolanki, Konstancja, wchodziła do szklanego przedszkola z wygrzebanym ze śmietnika elementarzem. Gromadziliśmy się wokół niej, a ona ustawiała nas w szeregu, od litery A do O. Dorośli przypatrujący się naszej zabawie z okien, klaszcząc w ręce, odczytywali bez trudu: ABECADŁO. I tak po kolei, przy pomocy Konstancji i jej abecadła, budowaliśmy żywe MIASTO. TRAMWAJ, AUTOBUS, CHLEB, MLEKO, CIEŁĘCINKA z ogonkiem na ę, którym był najstarszy z nas, Piotruś podszczypujący dziewczynki, jeszcze się jakoś zapisywała, ale ciągle rozsypywała się nam SZYNKA. Inna rzecz, że budowaliśmy ją na końcu, kiedy byliśmy już głodni. Ci z co lepszych domów, prawie rządowych, wymykali się z abecadła. To brakowało nam do jej zbudowania albo dwóch pierwszych, ministerialnych liter, albo dwóch końcowych, zamykających nasze abecadło umundurowaną ariergardą.

Czasem z naszego kamiennego podwórka starsi pozwalali nam wybiegać na pobliski podkościelny plac. Na tym placu porośniętym nigdy niekoszonym zieliskiem, gdzie tarzały się psy, gdzie w zagłębieniach ziemnych, w dołkach kisiły się przez cały rok deszczówki, gdzie wyrzucało się butelki z tworzywa po oleju i po płynach do prania, bawiliśmy się w rząd, milicję, partię. Jako większość naszych rodziców paradowało [*sic!*] do pracy w czarnych garniturach, w białych koszulach, pod krawatką, w zielonych lub niebieskich mundurach. Przeto bez trudu przychodziło nam zorganizowanie posiedzenia rządu, sejmowej sesji, plenum, a nawet

zjazdu. Najtrudniej szło nam z milicją. Wprawdzie mieliśmy kilku kolegów, których ojcowie pracowali na wyżynach, przy wiecznym czuwaniu, ale oni z ojcowskiego przykazania potwierdzonego paskiem, zaciśniętą pięścią, nie chcieli nam zdradzić, jak się organizuje narady, wyjazdy na akcje, obławę, przesłuchania. [...]

Najzabawniejsze były nasze plena. Zazwyczaj radziliśmy na nich o tym, ile komu przydzielić czekolady na kartkę, nadziewanych cukierków, wafli. Wtedy w dyskusji zagłuszaliśmy pierwszego sekretarza prowadzącego nasze plenum i wszyscy po kolei zabieraliśmy głos jako członkowie sekretariatu, biura, komitetu. Jako jedyny robotnik, nierwący się specjalnie do głosu, ostawał niedorozwinięty Oleś. On też po plenum, prowadzony przez nas pod rękę, odchodził pod kościół, gdzie było najwięcej płynącej w strumyczku brunatnej glinki i lepiał z niej tabliczki czekolady [...].

Któregoś czerwcowego dnia, czego nikt z nas nie mógł się spodziewać, gdyż było wyjątkowo upalnie i aż się prosiło, żeby pozdejmować koszule, Oleś zastrajkował. Na plac podkościelny przyszedł ubrany w granatowe ubranko, w białą koszulę z muszką, w sznurowane ciasno adidasy. Gdyśmy go chcieli zaciągnąć do gliniastego strumyka, żeby lepiał czekoladę, podniósł nad głowę zaciśniętą w piąstkę dłoń i piskliwie zaczął krzyżeć: strajk, strajk! Nie będę wam więcej, skurczybyki, robił czekolady, nie będę was karmił słodyczami. I wyciągając z zanadza czerwony proporczyk, zaczął maszerować wokół nas, zbitych w stadko. Synkowie mundurowych chcieli się rzucić na Olesia, rozpedzić go gazami łzawiącymi, zaciągnąć do milicyjnej suki, ale mądrzejsi rządowi powstrzymali ich.

Oleś, zawadzając za dużymi zagranicznymi adidasami o nieskoszoną trawę, chodził wokół nas z pięć minut [...].

A gdy się spocił, gdy adidasy zazieleniły się od zielska, schował proporczyk do znadza [*sic!*], zdjął wełnianą czapkę z głowy i podszedł do kościelnego murku. Z kieszeni marynarki wyjął dwie tabliczki zagranicznej czekolady i paczkę gumy do żucia. Połamał czekoladę na drobne kawałki, rozerwał paczkę gumy. I przywołując nas po kolei do siebie, mówił: – Jedzcie, jedzcie! Nie żałujcie sobie. Wujek przysłał z zagranicy cały wór. To nawet mundurowi przebaczyli mu ten strajk i czerwony proporczyk, i tę rewolucyjną, sprzed wieków pieśń. Tylko rządowi przez pełne usta czekolady, przez wydmuchiwane gumowe pęcherzyki, dopytywali się Olesia, gdzie wujek pracuje. Oleś, przyklejając zżutą gumę do kościelnego murku, czerwony ze wstydu, wybełkotał. – A gdzieżby, w żelaznej fabryce.

Wprawdzie parę lat wcześniej, przed Olesiem, widzieliśmy na naszym osiedlu strajkujących, ale oni szli wielkim tłumem ze sztandarami i nie rozdawali czekolady ani gumy do żucia. Nie przeszkadzali im w tym pochodzie nasi mundurowi ojcowie, co im mieli za złe nasi rządowi rodzice siedzący po domach, zamykający się na wszystkie klucze, albo ślęczący całe noce po biurach, po urzędach wielkich. Nawet nas, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, wypychali z domów

na kościelne nabożeństwa, kupili [*sic!*] nam srebrne medaliki z Matką Boską, z krzyżykiem. Matki nasze, nie tak dawno przesiadujące godzinami u fryzjera, latające po domach mody, powyciągały z bieliźniarek stare, przywiezione ze wsi książeczki do nabożeństwa. Uczyliśmy się na pamięć „ojczenaszków”, „zdrowasiek”, pieśni maryjnych, kolęd. Matka chromego Marianka, pracująca wieczorami społecznie w klubie oficerskim, tak się zapomniała, że zaczęła go uczyć pacierza po rosyjsku. Powiadają, że jak przyjdzie wielka armia, wystarczy uklęknąć koło drogi, przeżegnać się trzykrotnie krzyżem świętym, a oni zrozumieją, żeśmy zawsze byli wierni. Inne matki, na odwyrtekę, uczyły swoje pociechy pacierza po angielsku, a co wytworniejsze, szyjące sobie sukienki w Paryżu, po francusku.

Zawieszało się też w naszych domach na widocznych, rzucających się w oczy miejscach obrazki święte, krzyże w cierniowej koronie. Na biurku, na półce, gdzie ongiś pyszniły się dzieła twórców i klasyków, leżała Ewangelia, Biblia. Jak powiedział ojciec Tereski, dyrektor, zamki zamkami, a huknąć łomem i drzwi się rozlecą. A taki częstochowski obrazek, krzyżyk cierniowy, księga święta rzucająca się w oczy, jest jak tysiąc zamków, jak kasa pancerna. Obroni przed tłumem rozsierdzonym twój brylant szlifowany od lat, przekonania twoje, ideę, która wyciągnęła cię z gnoju, zwlekła z wyrka, z piwnicznej izby, wydłubała z wiersza o Jasiu, który nie doczekał. Ale ty, córuś moja, doczekasz i znowu będziesz chodzić w białych pończoszках, w buciczkach ze srebrnymi klamerkami, w płaszczyku z bielskiej wełny, w afgańskim kozuszk.

Jeszcze kilka razy namawialiśmy Olesia do strajku [...].

Za żadne skarby nie mogliśmy go też zmusić do robienia czekolady z gliny. Wprawdzie kilka razy przyłapaliśmy go nad glinianym strumyczkiem, ale Oles, jakby nas nie było, w najlepsze lepił ludzików, ustawiał ich w pochodzie, rozwieszał nad nimi transparenty, proporczyki, chorągwie [...].

Próbowaliśmy mu burzyć te pochody, rozdeptywać, ale on jakby nas nie było, jakby się nic nie stało, lepił cierpliwie następnych ludzików i ustawiał ich na kościelnym murku i popychał gliniastą dłonią do marszu. To w końcu daliśmy mu spokój.

Jakoż w owym czasie zainteresowały nas inne pochody. Z głębi ziemi, spod kościelnego murku, z piwnic maszerowały na nasze osiedle mrówki. Bataliony, brygady, dywizje, armie nie większych niż ziarnka prosa stworzeń. Szły niewstrzymanie [...] Któregoś dnia zaatakowały jedyny na osiedlu sklep spożywczy, kiosk z gazetami, pocztę. Po miesiącu, przynoszone z chlebem, z mąką, z gazetami, z listami, weszły do naszych domów [...].

Umundurowani ojcowie, rządowi twierdzili, że nastało je podziemie. Próbowali też po naradzie trwającej całe popołudnie do późnej nocy walczyć z nimi [...] zaraz po nich zaczęły nas atakować karaluchy. Zrządzeniem losu czy też z czyjegós

podpuszczenia najwięcej ich było w domach mundurowych, rządowych. Przeważnie przez parę dni radzono, jakby je zwabić do mieszkań, gdzie nawet drzwi skrzypiały: „nie i nie”. Ale okazało się, że to nie takie proste. Do mieszkań skrzypiących „nie i nie” nie dopuszczały ich mrówki. Walczyły z karaluchami zaciekle, jakby je kto opłacał.

Po paru miesiącach, po roku przyzwyczailiśmy się do pochodów mrówek i karaluchów. Ojcowie nasi z mieszkań skrzypiących „nie i nie” i ojcowie z domów mundurowych, rządowych nawet byli zadowoleni. Jak powiadali, natura, matka wszelkiego stworzenia i rozsądku, pogodziła obie strony. Jednych zaatakowała czerwonymi mrówkami, a drugich czarnosecinnymi karaluchami.

Uspokoilo się, uciszyło na naszym osiedlu. Czasem tylko, zazwyczaj nocą łomotano do których z drzwi skrzypiących „nie i nie”, słycać było rumor na schodach, a po chwili zapuszczanie gazika. Jeszcze rano widziało się dwie, trzy kobiety w czarnych chustkach na głowie, z podkutymi sińcem oczami, dzieci wystające pod kościołem, odchodzące z butelkami oleju, z kostkami margaryny. Jeszcze mundurowi, rządowi ojcowie napuszczali na mieszkania skrzypiące „nie i nie” specjalnie ćwiczone psy. Nad ranem, na dwie, trzy godzinki przed budzikiem, podbiegał taki pies pod drzwi skrzypiące „nie i nie”, siadał na wycieraczce i w najlepsze przez pięć, dziesięć minut szczekał: „tak i tak”, „tak i tak”. W rewanżu ci skrzypiący „nie i nie” nasylali na mundurowych, rządowych swoje psy, zazwyczaj jamniki z gazetkami podziemnymi w pyskach, z ulotkami.

Tylko ojciec Olesia, który nie należał ani do jednych, ani do drugich, zmajstrował w fabryce żelazną kukułkę. Rano, przed wyjściem do pracy, ustawiał ją na parapiecie okna, nakręcał, a kukułka, jakby zakwitła na osiedlu jedyna wisienka, przez kwadrans wołała a kuku, a kuku! [...]